

# **KRÓLESTWO Z TEGO ŚWIATA**

**Alejo Carpentier**

**Przełożyła Kalina Wojciechowska**

**Postowie Ewa Nawrocka**

**Państwowy Instytut Wydawniczy**

1.

## Woskowe głowy

Z dwudziestu ogierów przywiezionych do Cap Français przez kapitana statku andaluzyjskiego, który handlował z pewnym hodowcą normandzkim, Ti Noel wybrał bez wahania tego o białych nogach i krągłych kłębach, dobrego do pokrywania klaczy, które rodziły coraz mniejsze źrebaki. Monsieur Lenormand de Mézy, znając spryt i doświadczenie swego niewolnika w sprawach koni, nie kwestionował wyboru i zapłacił w brzęczących okrągłych ludwikach. Uplótszy mu uzdę ze sznurów, Ti Noel wsiadł na konia, oceniając całą wygodę szerokiego zadu solidnie zbudowanego zwierzęcia kasztanowatej maści. Jadąc w ślad za swym panem, który dosiadał lżejszego w nogach gniadosza, czuł spływający mu po udach lepki pot, który wkrótce zmienił się w kwaśną pianę na gęstej sierści konia. Minęli dzielnicę portową z jej sklepami pachnącymi rybą, płóciennymi zasłonami zeszywniałymi od wilgoci i sucharami, które trzeba było rozkruszać uderzeniem pięści, nim zatrzymali się na głównej ulicy, gdzie o tej porannej godzinie lśniły barwne chusty

służących Murzynek powracających z targu. Z karo-  
cy gubernatora, przeładowanej złoceniami w rokoko-  
wym stylu, powitał ich szeroki ukłon przeznaczony  
dla pana Lenormanda de Mézy. Potem kolonista  
i niewolnik przywiązali konie przed sklepem goli-  
brody, który ku rozrywce swoich klientów rozmiło-  
wanych w lekturze abonował „Gazetę Lejdejską”.

Podczas gdy jego pan się golił, Ti Noel mógł po-  
dziwiać do woli cztery głowy z wosku zdobiące pół-  
kę przy wejściu. Pukle peruk otaczały nieruchome  
twarze, rozsypując się w fali loków na czerwonym  
kobiercu. Głowy te wydawały się równie prawdziwe –  
choć równie martwe z powodu swych nieruchomych  
oczu – jak mówiąca głowa, którą pewien przejezdny  
szarlatan przywiózł z sobą do miasta wiele lat temu  
do pomocy w sprzedawaniu eliksiru na ból zębów  
i reumatyzm. Zabawnym zbiegiem okoliczności  
wystawione w sąsiednim sklepie rzeźnika głowy  
cieląt, z gałązką pietruszki w pysku, miały ten sam  
woskowy wygląd, podobnie jak szkarłatne ogony,  
nogi w galarecie i garnki z flakami przyrządzonymi  
na modłę normandzką. Obie wystawy przedzielała  
tylko drewniana ściana i Ti Noel uśmiechał się na  
myśl, że tuż obok bezbarwnych głów cielęcych poda-  
wano głowy białych panów na obrusie tego samego  
stołu. Wzorując się na tych, co przyozdabiali ptaki  
w ich własne pióra, aby przedstawić je w całej okaza-  
łości uczestnikom bankietu, doświadczony kucharz  
o skłonnościach nieco ludożerczych przybrał głowy  
w swoje najlepsze peruki. Brakowało im tylko ramki  
z liści sałaty albo z rzodkiewek pokrajanych w kształt  
kwiatu lilii. Poza tym słoiki z gumą arabską, butelki

wody lawendowej i puszki ryżowego pudru obok rondli flaków i blaszanych form z zapiekаныmi cynaderkami uzupełniały, przez dziwne podobieństwo naczyń, ów obraz obrzydliwego bankietu.

Tego ranka wszędzie była obfitość głów, bo i właściciel pobliskiej księgarni zawiesił na drucie, przyczepione klamerkami do wieszania bielizny, ostatnie ryciny otrzymane z Paryża. Co najmniej cztery spośród nich ukazywały oblicze króla Francji w otoczeniu słońca, mieczów i laurów. Ale były inne jeszcze głowy w perukach, należące prawdopodobnie do wysokich osobistości dworskich. Wojowników można było rozpoznać po ich pozie wyrażającej moment ruszania do ataku. Sędziów – po ich groźnym zmarszczeniu brwi; uczonych pisarzy – po uśmiechu obejmującym dwa skrzyżowane pióra ponad wierszami, które nic nie mówiły Noelowi, bo niewolnicy nie umieli czytać. Były także kolorowe ryciny o lżejszej fakturze, przedstawiające sztuczne ognie na cześć zdobycia jakiegoś miasta, taniec medyków zbrojnych w wielkie strzykawki, zabawę w ślepą babkę w parku, młodych libertynów wkładających rękę za dekolt pokojówek, nieuniknioną frywolność zakochanego, który leżąc na trawie, odkrywa intymne uroki swej damy niewinnie kołyszącej się na huśtawce. Uwagę Ti Noela przyciągnął jednakże w tym momencie miedzioryt, ostatni z serii, który różnił się od innych treścią i wykonaniem. Przedstawiał coś jakby admirała czy ambasadora francuskiego, którego przyjmuje Murzyn w otoczeniu wachlarzy z piórami, siedzący na tronie ozdobionym figurkami małp i jaszczurek.

– Co to za człowiek? – ośmielił się zapytać księgarza, który w tej właśnie chwili zapalał glinianą fajkę na progu swego sklepu.

– To monarcha twego kraju.

Nie było potrzebne potwierdzenie czegoś, co już myślał, gdy młody niewolnik przypomniał sobie nagle opowiadki, które mruczał pod nosem Mac-kandal przy wytłaczaniu trzciny cukrowej, kiedy najstarszy z koni na hacjendzie pana Lenormanda de Mézy obracał walce. Głosem udającym znużenie, żeby nadać większy efekt, Mandinga\* opowiadał o wydarzeniach w wielkich królestwach Popo, Arada, Nagós i Fulas. Mówił o wielkich wędrówkach ludów, o stuletnich wojnach, o cudownych bitwach, w których zwierzęta pomagały ludziom. Znał historię Adonhuesa, króla Angoli, króla Dá, wcielonego w Węża, który jest wiecznym początkiem i nigdy się nie kończy i którego łączyły mistyczne stosunki cielesne z królową, wcieleniem tęczy, panią wody i porodów. Ale nade wszystko lubił mówić o czynach wojennych Kankana Musy, dzikiego Musy, twórcy niezwykłego imperium Mandingów, których konie miały ozdoby ze srebrnych monet i haftowane czapraki i zagłuszały swoim rzeniem szczęk mieczy, nosząc grzmoty ukryte pod pergaminem bębnow zawieszonych na krzyżu. Królowie ci z włócznią w ręku cwałowali na czele swoich hord, nietykalni dzięki wiedzy Preparatorów, i padali ranni tylko wtedy, gdy obrazili w jakiś sposób bóstwa Pioruna albo bóstwa Kuźni. To byli królowie, królowie praw-

---

\* Mandinga – Murzyn urodzony w Afryce.

dziwi, nie ci władcy zbrojni w cudze pióra, którzy grali w bilboketa, a bogów umieli odgrywać tylko na scenach swoich teatrów dworskich, wystawiając na pokaz zniewieściałe tyłki w rytm rigodonu. Ci biali władcy więcej słuchali muzyki swoich skrzypiec, wierszy swoich gryzpiórków, paplaniny swoich kochanek i śpiewu ptaków nakręcanych sprężyną niż huku armat strzelających do ostrogi półksiężyca. Choć wykształcenia miał niewiele, Ti Noel został pouczony o tych prawdach przez głęboką wiedzę Mackandala. W Afryce król był wojownikiem, myśliwym, sędzią i kapłanem, jego cenne nasienie zapładniało setki brzuchów mocnym plemieniem bohaterów. We Francji, w Hiszpanii natomiast król wysyłał na wojnę swoich generałów, był niekompetentny w rozsądzaniu sporów, dawał się besztać każdemu mnichowi spowiednikowi, zdolny spłodzić co najwyżej jakiegoś słabowitego księcia, który nie potrafił zabić jelenia bez pomocy swoich naganiaczy i którego z nieświadomą ironią nazywano imieniem ryby tak nieszkodliwej i lekkiej jak delfin. Tam za to – w Wielkiej Dali – byli książęta twardzi jak stal, książęta przebiegli jak lamparty, książęta, którzy znali język drzew, książęta, którzy rządzą czterema stronami świata, władcy chmur, nasienia, spizu i ognia.

Ti Noel usłyszał głos swego pana, który wychodził od balwierza ze zbyt upudrowanymi policzkami. Jego twarz była teraz zdumiewająco podobna do czterech woskowych twarzy, uśmiechających się głupio na wystawie. Monsieur Lenormand de Mézy, przechodząc, kupił głowę cielęcia u flakarza

i wręczył ją niewolnikowi. Siedząc na swoim ognie, niecierpliwie już wyglądającym żłobu z paszą, Ti Noel pomacał tę zimną i białą czaszkę i pomyślał, że w kształcie i dotyku musi być podobna do łysiny, którą jego pan ukrywał pod peruką. Ulica tymczasem wypełniła się ludźmi. Po Murzynkach wracających z rynku pojawiły się ich panie wychodzące z kościoła po mszy o godzinie dziesiątej. Za niejedną konkubinę jakiegoś wzbogaconego funkcjonariusza szła służąca koloru równie mieszanego jak ona, niosąc wachlarz palmowy, modlitewnik i parasolkę o poślaczanych brzegach. Na rogu ulicy kukiełkarz wprowadził w ruch swoje lalki. W tawernach odkorkowywano butelki wina chłodzone w beczkach napełnionych solą i mokrym piaskiem. Ojciec Cornejo, proboszcz z Limonade, zajechał właśnie pod bramę głównego kościoła na swoim szarym mule.

Monsieur Lenormand de Mézy i jego niewolnik wyjechali z miasta drogą, która wiodła nad brzegiem morza. Zagrzmiały armaty z fortu, „La Courageuse” z floty królewskiej ukazała się przed chwilą na horyzoncie, powracając z Wyspy Żółwiej. Na jej burtach zarysowały się białe dymy salw. Osaczony wspomnieniami z czasów, kiedy był biednym oficerem, kolonista zaczął gwizdać *Marsz fujarek*. Ti Noel, kontrpunktując w duchu, zanucił bezgłośnie marynarską piosenkę śpiewaną w owych czasach przez bednarzy w porcie i znieważającą króla Anglii. Nie miał wątpliwości co do słowa „merde”, chociaż tekst nie był w języku kreolskim. Dlatego to umiał. Zresztą równie mało znaczył dla niego król Anglii, jak i monarcha Francji czy Hiszpanii, który

władał drugą połową wyspy i którego kobiety – według twierdzeń Mackandala – czerwieniły sobie policzki krwią z wołów i zakopywały embriony infantów w podziemiach klasztoru, pełnych szkieletów wygnanych z prawdziwego nieba, gdzie nie chciano przyjmować zmarłych nieznających prawdziwych bogów.